

Alan Sokal, Jean Bricmont, *Modne bzdury. O nadużywaniu pojęć z zakresu nauk ścisłych przez postmodernistycznych intelektualistów*, tłum. Piotr Amsterdamski, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998, ss. 280

Książka, którą zamierzam zaprezentować, a przede wszystkim skrytykować, nie jest już wydawniczą nowością. Przeciwnie, napisano o niej wiele, bowiem wywołała w ostatnich latach spore zamieszanie w środowiskach intelektualnych. Szczególną popularnością cieszyła się wśród reprezentantów nauk ścisłych oraz zwolenników klasycznego uprawiania filozofii, dla których była argumentem koronnym na rzecz tezy, że filozofowie należący do grona postmodernistów po prostu sami nie wiedzą, o czym piszą (przy okazji dodam, że tytuł recenzowanej książki wprowadza w błąd, gdyż ośmieszani przez autorów badacze reprezentują często inne prądy filozoficzne niż postmodernizm, np.: strukturalizm, feminizm czy psychoanalizę). Stanowiła także dogodny pretekst – by nie czytać „bzdur” – dla tych wszystkich, którzy nie mieli czasu czy ochoty na włożenie pewnego wysiłku w studiowanie „postmodernistycznych” pism (choćby wykładów Jacquesa Lacana), zresztą trudno nie przyznać, że lektury te nie należą do najłatwiejszych. Owa pokusa potraktowania wyszydzanych tekstów jako przejściowej mody i odłożenia ich do lamusa jest, niestety, w pewnych środowiskach nadal dość silna i stąd moja nieco spóźniona, ale, jak przypuszczam ciągle potrzebna krytyczna recenzja tej pracy.

Kilka słów o okolicznościach powstania *Modnych bzdur*. Otóż Alan Sokal, podszywając się pod sympatyka postmodernizmu, opublikował parodystyczny artykuł w czołowym amerykańskim czasopiśmie o kulturze, następnie ujawnił swoje oszustwo i postanowił udostępnić tekst wraz z demaskującym komentarzem w obszerniejszej publikacji. Wtedy książka, również dzięki współpracy z Jeanem Bricmontem, rozrosła się w prezentowaną tutaj.

Książka składa się z dwóch części: pierwsza z nich (moim zdaniem znacznie mniej ciekawa) to próba wykazania na podstawie krótkich wycinków tekstów Lacana, Julii Kristevej czy Bruno Latoura, że wy-

mienieni autorzy używają pojęć z dziedziny fizyki i matematyki, których zwyczajnie nie rozumieją. Druga część, która zresztą niejako przeplata się z pierwszą, jest nieco bardziej rzetelna i w skrócie można ją określić jako krytyczne uzasadnienie antyrelatywizmu, przede wszystkim na gruncie filozofii nauki. Jest to próba wywiedzenia powszechnego dziś zwątpienia w wartość poznawczą teorii naukowych z tez: Carla Poppera, Thomasa Kuhna, Paula Fayerabenda oraz przedstawicieli socjologii nauki i ich tzw. silnego programu. Jest to także próba w miarę subtelного zdyskredytowania dorobku tych autorów oraz obrony tezy, że pomiędzy mitem a prawem naukowym istnieją zasadnicze różnice (bo np. mitu się nie podważa pod wpływem eksperymentów naukowych). Autorzy *Modnych bzdur* zastosowali tutaj pewien chwytliwy trick, mianowicie porównują oni badanie naukowe do... ścigania przestępcy. Relacja podobieństwa zachodzi rzekomo pomiędzy prawdziwością wyroku (wiemy kto popełnił karalny czyn, bo wyeliminowaliśmy pozostałych podejrzanych) a prawdziwością teorii (wyeliminowaliśmy wszystkie inne rozwiązania drogą procedur badawczych). O podobieństwie możemy też mówić w kontekście metody: zarówno metoda naukowa, jak i śledcza są niezwykle trudne do skodyfikowania, niemniej prowadzą do konkretnych rezultatów poznawczych, do prawdy. Tyle prezentacji.

Pierwsze pytanie, które należałoby postawić autorom, to pytanie o ich intencje. Jest to pytanie ważne, ponieważ trudno nie zapytać o intencje kogoś, kto zaczyna walkę z niewygodnymi dla siebie poglądami od oszustwa. Na tej podstawie zaczęłam podejrzewać, że intencje autorów nie są uczciwe, a był to dość poważny zarzut przeciw książce, głównie dlatego, że został zaczerpnięty niejako z własnej metodologii autorów (rzetelny badacz nie powinien pisać o rzeczach, co do których jest nieobiektywnie nastawiony).

Warto jeszcze napisać kilka słów na temat wspomnianego oszustwa, gdyż jest ono jak gdyby fundamentem tez krytycznych *Modnych bzdur*. Otóż opublikowany w „Social Text” artykuł był kompletnie pozbawiony sensu, ale zawierał około 10 stron fachowej bibliografii z dziedziny fizyki. Redaktor pisma był z wykształcenia humanistą, pewnie niewiele z niego zrozumiał, ale przyjął, że autor, który (zresztą zgodnie z prawdą) podał się za fizyka, wie o czym pisze. Opublikowanie artykułu Sokala ośmiesza zatem jedynie redaktora pisma, a i to nie jest wcale takie oczywiste.

Relatywizm poznawczy jest stanowiskiem, które, podobnie jak i pogląd mu przeciwny, trudno uzasadnić. Wiedzano o tym już w starożyt-

ności. Problem, jak sądzę, tkwi w metodach, które stanowią podstawę zarówno prowadzenia śledztwa (trzymając się tego, zastosowanego przez autorów „kryminalnego” porównania), jak i badań naukowych. Bo czy właśnie niemożność skodyfikowania metody nie jest mocno związana zarówno z błędnymi wyrokami, jak i teoriami? Czy możemy mieć pewność, że skazany człowiek popełnił przestępstwo? A jeśli to jednak nie on albo jeśli za jego nieczym czynem stoi ktoś inny, kto niewidocznie „pociąga za sznurki”? Otóż uważam, że nie jest bynajmniej bezsensownym twierdzenie, iż takiej pewności co do winy skazanego nie osiągniemy nigdy.

Autorzy *Modnych bzdur*, w przeciwieństwie do tych wszystkich, których określili mianem „postmodernistów”, poruszają się na zupełnie innym poziomie i dysponują innym zapleczem intelektualnym niż ich oponenti. Nadużycia terminologiczne jawią się jako takie jedynie komuś, kto wierzy w możliwość dyskursywnego uchwycenia fragmentu obiektywnie istniejącej rzeczywistości, a co za tym idzie uważa, że pojęcia naukowe mają ściśle określone znaczenie. Dla krytykowanych „postmodernistów” język nauki nie jest w żaden sposób uprzywilejowany, nie stanowi zwierciadlanego ani jakiegokolwiek innego odbicia natury, zatem prezentując pewne pojęcia w odmiennym kontekście nie popełniają oni żadnego nadużycia. Przeciwnie, ich zdaniem zapewne wzbogacają język filozoficzny, bowiem pojęcia naukowe żyją na nowym terenie własnym, zupełnie odmiennym życiem.

Pozwolę sobie pokazać to na bardzo prostym przykładzie. Opisując zjawisko czasowości w tradycji Heideggerowsko-psychoanalitycznej, Agata Bielik-Robson używa określenia: zasada nieoznaczoności (a dokładniej: „coś na kształt zasady nieoznaczoności”). Ma ona na myśli taki sposób postrzegania wymiaru czasowego, który przeciwstawia się podmiotowi i nie pozwala na uspołnienie autobiograficznej opowieści. Innymi słowy: „w doświadczeniu mamy do czynienia albo z «teraźniejszością», nagłym «teraz» traumy pojawiającej się bez uprzedniego, teoretycznego przygotowania – albo z «obecnością», ukonstytuowanym zawsze w poniewczasie słowem, które nadaje sens, wypełnia rozumieniem”¹. Czy wykorzystanie w tym kontekście ściśle sprecyzowanego pojęcia z dziedziny fizyki kwantowej jest nad-użyciem terminologicznym? Wydaje mi się, że nie. Po prostu pojęcie to użyte jest metaforycznie, autorka opiera się niejako na ogólnej wiedzy czytelnika i tym sa-

¹ A. Bielik-Robson, *Słowo i trauma: czas, narracja, tożsamość*. W: *Formy reprezentacji umysłowych*, red. R. Piłat i in., Warszawa 2006, s. 173.

mym dosadnie uzmysławia dramatyzm kondycji ludzkiej: autobiograficzna, nie do końca spójna narracja jawi się tutaj jedynie jako pewien mechanizm obrony przed niewiadomym, zaś rzeczywistość jako taka nie zostaje nigdy właściwie rozpoznana i opisana, bo zawsze rozpoznajemy i opisujemy ją za późno, „po czasie”.

Dlatego wyszydzenie przez autorów recenzowanej książki choćby Jeana Baudrillarda za użycie przez niego zwrotów: *Euklidesowa przestrzeń historii* czy *liniowa przestrzeń Oświecenia*² wydaje się świadczyć jedynie o ich braku wyobraźni oraz dobrej woli. Sądzę, że podobnie jak Bielik-Robson, Baudrillard próbuje tylko metaforycznie opisać pewną sytuację, mianowicie: dominację modelu myślenia racjonalnego, które wyrasta między innymi z tez Kartezjusza o geometrii jako wzorcu wszelkiej wiedzy, która to (geometria) jest pomocna w budowaniu „modeli” rzeczywistości oraz dzięki której można nie zwracać uwagi na „nieistotne szczegóły”, takie jak świadectwo zmysłów.

Wolno zresztą, będąc złośliwym pokazać, że autorzy *Modnych bzdur* sami używają pojęć w znaczeniu, w którym nie funkcjonują one w filozofii i zarazem nie wyjaśniają tego nowego znaczenia. Tak dzieje się, gdy piszą o „pragmatycznym kryterium kontekstu odkrycia”³. Zupełnie nie mam pojęcia, jak można mieszać intuicję czy objawienie (jakie często stoją za naukowymi odkryciami) z pragmatycznym kryterium prawdy, które pozwala uznać za prawdziwe tylko te twierdzenia, które „sprawdzają” się w działalności człowieka. Czy nie jest to lekceważące nadużycie pojęcia filozoficznego, dość dobrze zdefiniowanego przez pragmatystów amerykańskich? Nie, jeśli przyjmiemy, że słowo „pragmatyczny” w powyższym kontekście funkcjonuje w znaczeniu potocznym. Ale, kierowani złośliwością, zawsze możemy postawić taki zarzut.

Paweł Dybel w książce *Granice rozumienia i interpretacji* niezwykle krytycznie odnosi się do pewnych środowisk intelektualnych w Polsce, których nastawienie względem dokonań humanistyki ostatnich lat jest pełne wrogości i uprzedzeń. We wstępie do wspomnianej pracy Dybel pisze o nich następująco: „W ich oczach wszystkie te orientacje i nurty [tzn. postmodernizm, poststrukturalizm, feminizm i psychoanaliza, dop. B. Ch.] są uosobieniem intelektualnej rui i porubstwa; są złem, które należałoby wytrawić doszczętnie ogniem «twardych» naukowych me-

² Podaję za: A. Sokal, J. Bricmont, *Modne bzdury. O nadużywaniu pojęć z zakresu nauk ścisłych przez postmodernistycznych intelektualistów*, tłum. P. Amsterdamski, Warszawa 1998, s. 145.

³ Tamże, s. 88.

to, nienaganych pod względem logicznym i jednoznacznych w tym, co głoszą. [...] jeśli je krytykują, to jedynie po to, aby utwierdzić się we własnym stanowisku poprzez założone z góry sprowadzenie do nicości wszystkiego, co poza nie wykracza i co – w ich mniemaniu – stanowi dlań śmiertelne zagrożenie⁴. Niestety, sędzę, że podobnie twardogłowe środowisko reprezentują autorzy recenzowanej tutaj pracy.

Nie chodzi mi o to, by całkowicie podważyć racje autorów *Modnych bzdur*, zresztą to chyba niemożliwe. Pewne ironiczne analizy fragmentów „postmodernistycznych” książek są bardzo przekonujące. Poza tym z pewnością w tekstach współczesnych humanistów, szczególnie zaś wśród osób mniej znanych, częstokroć dochodzi do pewnych nadużyć. Nieraz wykorzystują oni modny postmodernistyczny żargon tylko po to, by mierny pomysł na artykuł zyskał efektowną oprawę. A im mniej kto z niego zrozumie, tym lepiej. Mam jednak nieodparte wrażenie, że autorzy pragną zdyskredytować **całą** współczesną humanistykę, tym bardziej, że w zakończeniu książki piszą wprost o „kulturowym zamieszaniu, które sprzyja obskurantyzmowi” oraz „osłabieniu politycznej lewicy”⁵, za które to rzekomo odpowiadać mają właśnie relatywiści, albo szerzej: humaniści. Jest to argument nie tylko niedowodliwy, ale także krzywdzący. Poza tym podważa metodologię reprezentowaną przez autorów, ponieważ nie wydaje się, by właśnie z ich punktu widzenia o tym, co wartościowe dla obiektywnego badacza, miały decydować praktyczne skutki (tzn. niepożądane reakcje społeczne).

Sędzę, modyfikując i poszerzając nieco tezę Ihora Sevcenki⁶, że w świecie nauki (nauki w najszerszym tego słowa znaczeniu) istnieją zarówno „gąsienice”, jak i „motyle”. „Gąsienica”-pozytywista jest specjalistą w wąskiej dziedzinie i zajmuje się głównie wytykaniem błędów „motylowi”. Z kolei „motyl” jest bardziej literatem niż naukowcem, czasem wyraża się poetycko i nieściśle, licząc bardziej na intuicję niż intelekt czytelnika, bowiem jego wiedza, w porównaniu z ogólnością formułowanych twierdzeń, musi być w wielu miejscach jedynie powierzchowna. Często odnoszę wrażenie, że „gąsienice” wręcz chorobli-

⁴ P. Dybel, *Granice rozumienia i interpretacji. O hermeneutyce Hansa-Georga Gadamera*, Kraków 2004, s. 8.

⁵ A. Sokal, J. Bricmont, *Modne bzdury...*, s. 197.

⁶ Tezy o istnieniu „motyli” i „gąsienic” Sevchenko odnosi wyłącznie do nauk historycznych, por. I. Sevchenko, *Dwa rodzaje dzieł historycznych, W: Pojęcia, problemy, metody współczesnej nauki o sztuce*, red. J. Białostocki, Warszawa 1976.

wie nie znoszą „motyli” i że jest to relacja jednostronna. Dlatego zdarza się, że nie obiektywny sąd, ale zła wola decyduje o ich ocenie dorobku „motyli”.

Chciałabym ostrzec czytelnika przed bezkrytyczną lekturą książki Sokala i Bricmonta, by nie stała się usprawiedliwieniem dla jego ignorancji. Nie ma nic gorszego, niż poddanie się kryterium autorytetów, które jak gdyby zwalnia z osobistej odpowiedzialności za to, jakie ma się poglądy oraz przede wszystkim za to, jak ocenia się innych.

Bogna Choińska